Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 11 czerwca Nr. 23.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

W lesie.

(Cykl sonetów.)

I.

Lasy wspaniałe! W waszym cichym szumie
Ileż poezji i czasu się kryje!
Jestże czyj umysł, jestże serce czy je,
Co was głęboko odczuje, zrozumie?

Jest — ale nie to, które w ludzi tłumie,
W gwarze światowym, wśród pustoty żyje —
Lecz to, co pieśnią i miłością bije,
Co tonie w myśla i cichej zadumie.

Lasy wspaniałe! Wy wiecznie wzrastacie
W głębokich cieni powadze i pysze,
Wiecznie stoicie w piękna majestacie.

Czy w długie, senne zapadacie cisze,
Czy piersią waszą wiatr lekko kołysze —
Zawsze mi w dusze czar niemy rzucacie.

II.

Poranek pierzcha, dokoła mrok czarny,
Od wschodu ziemię objął świt perłowy.
Budzi się życie; świat ptaszęcy, gwarny
Napełnia ciszę głosami rozmowy.

Na srebrnych łąkach już pasą się sarny,
Z mgły gęstej czasem wynurzając głowy.
Chłód zewsząd wieje, lecz dzień będzie skwarny,
Bo mgła się wlecze w głębokie parowy.

Budzi się życie! Dołem przemknął zając
I wpadł w gęstwinę jak strzała; na drzewie
Skacze z gałęzi na gałęź wiewiórka.

Tam małe ptaszę, cicho szczebiotając,
Zanim wyleci głosić ranek w śpiewie
Na bladem słonku osusza swe piórka.

III.

Coraz weselsze rozchodzą się echa
Przez wnętrze boru, przez gąszcze i laski;
Naokół słychać łamania i trzaski
Suchych gałązek i łupin orzecha.

Słońce w las wlewa szerszą strugą blaski,
Jakże w nich cudnie lśni jedwabna plecha!
Wszędzie brzmi radość z życia i uciecha.
Przyrodo, ileż użyczasz swej łaski!

Ty wiecznie ziemi dobrodziejstwem płacisz
I czuwasz nad nią od świtu do świtu;
Na pustych skałach, wśród głębokich zacisz

Rozsiewasz ziarna kiełkowań, rozkwitu;
Zaledwie jaki twór ziemski zatracisz
Już go znów budzisz do nowego bytu.

IV.

Ty stroisz ziemię w kwiat wonny i zieleń,
Pozwalasz ptakom pieśń nucić rozgłośnie;
Ty nam przynosisz w budzącej się wiośnie
Tyle uniesień, tyle rozweseleń.

Ty wszystko nicią oplatasz miłośnie,
Dobywasz życie z gruzów i spopieleń;
Tobie zawdzięcza pyszne kształty jeleń
I wszystko, wszystko, co na ziemi rośnie.

Poranna zorza, różnobarwna tęcza,
Co ukazuje się ną chmurnem niebie,
Spokojny błękit, promienie słoneczne —

Wszystko to tobie istnienie zawdzięcza!
Matko wszechstworzeń, przyrodo, czczę ciebie
I twoje piękno uwielbiam przedwieczne!

V.

Na leśnym stawie, co w słońcu się złoci
Pływają z brzegu liczne wodorosty,
Od stawu sosen szlak ciągnie się prosty,
Którego z liści wiatr nie ogołoci.

Drzewa się łączą ze sobą, jak mosty
Ponad kępami rzeźbionych paproci,
Co wśród leśnego cienia i wilgoci
Rosną obficie, bujają jak osty.

Za stawem drogę jar ciemny zamyka
Spodem którego płynie struga czysta,
Po bokach ściana wznosi się skalista.

Na niej jednakże roślinność nie znika:
Rośnie tu powój, bluszcz i róża dzika
Co z resztek światła i wody korzysta.

VI.

Wejdźmy w głąb lasu: tu dąb, protoplasta
Chyli pień stary nad głębiami wody,
Tu gaj w dolinie zieleni się młody,
Tu rośnie świerczek, tam paproć krzewiasta.

Na ziemi leżą przewrócone kłody,
Na których lśni się powłoka grzybiasta,

Tu krzak ostrężyn, tam malin wyrasta...
Jakże jest pięknym ten nieład przyrody!

Poezjo! Kiedy zstępujesz na ziemię
W gwiazd drżącem świetle, w słonecznej powodzi,
W późnych wieczorów krawym dyademie —

Szlak drogi twojej zapewne przechodzi
Przez to królestwo drzew, gdzie miłość drzemie,
Gdzie tyle piękna i czaru się rodzi.

(Dokończenie nastąpi.)

J. Klemensiewicz

Antka.

SZKIC.

(Dokończenie).

Urwał. Ciężko mu jakoś było mówić w tej chwili. Antce przyszła myśl, aby on do niej napisał z miasta, bo oboje czytać i pisać umieli, Stach przystał na jej propozycję z radością, ogarniając ją spojrzeniem, w którem Antka widziała tyle litości i przywiązania, że właśnie na myśl że jakiś czas widzieć tego wzroku nie będzie mogła, znów dziwnie ponuro jej w duszy się uczyniło. Biegła więc prawie obok niego spocona i trwożna zarazem, że każdy krok Stacha dzieli go bardziej od niej. Nagle Stach stanął na miejscu i wlepiając w nią swe duże, kochane oczy odezwał się z widocznym niepokojem i żałością w głosie:

— No, Antko, wracaj do chałupy, bo stary się obudzi, a i ty nie bardzo zdrowa.

Usiadł na jakimś nasypie przydrożnym i ona też. Nie opierała się wcale jego propozycji i postanowiła wrócić. Stach trzymał ją jednak mocno za rękę i patrzał na ziemię ponuro. Wreszcie tłómok położył na ziemię i nachyliwszy się pocałował raz pierwszy Antkę w same usta. Nie broniła się mu. Było jej tak ciężko na sercu, że postanowiła odejść zaraz Powstała szybko i ścisnąwszy Stacha ile jej sił starczyło, za rękę, poczęła biedz, nie obejrzawszy się prawie ku domowi. On śledził ją długo, póki nie znikła na zakręcie drogi. Potem ująwszy tłómok w rękę, szedł wolnym krokiem ku miastu.

Antka biegła tymczasem szybko, potykając się ciągle na oślizłej od wilgoci drodze. Czując niesłychany zawrót w głowie, biegła na oślep, nie widząc prawie nic przed sobą. Chłód obejmował ją całą, a po twarzy i odzieży spływały gęste krople deszczu, który osłonił szarą siatką całą okolicę. Chłód ranka i wilgoć przenikały ją do kości i sprawiały w całem ciele gwałtowne dreszcze. Zatrzymała się na chwilę i wtedy uczuła, że w piersiach kłuje ją straszliwie. Równocześnie w gardle dusiło ją coś niby żelaznymi kleszczami. Nie zważała jednak na to prawie zupełnie. Tysiące myśli krążyło jej po głowie. Wszystkie biegły gdzieś w dal za tym, który w każdej chwili oddalał się od niej dalej i dalej. Przed oczyma ujrzała jakby złote i srebrne punkciki, które latały koło niej jak natrętne muchy, sprawiając jej tem dziwną przykrość. W głowie szumiało jej, jak w wezbranych przydrożnych potokach. Pomyślała sobie, że wstąpiwszy do służby w mieście mogłaby Stacha widywać każdego dnia, jak dotąd bywalo. Myśl ta czepiła się jej do głowy jak cierń odzienia. Ta myśl nawet ucieszyła ją bardzo. Przypomniała sobie nawet jakąś zasłyszaną u dziewcząt okolicznych piosnkę i śpiewać poczęła prawie wesoło:

Oj, matuś, oj, matuś, dajze mi tez uzyć,
Oj, puśćze mnie, puśćze do miastecka słuzyć.

Ale nagle urwała. Przyszedł jej na myśl ojciec ciemny i chory. Obużyła się prawie na na siebie i chmurna szła wolno, czując teraz w piersi wzmagający się ból i ciężkość wielką. Gdy stanęła w drzwiach chałupy, stary spał jeszcze. Rozpaliła ogień na kominie, choć ręce jej dygotały aż z strasznego bólu w piersiach upadła ciężko na ławę

Ogarnęła ją teraz słabość taka, że nie czuła prawie rąk ani nóg. By odzyskać siły, położyła się na chwilę i wtedy porwał ją kaszel tak silny, że oczy zdawały się wypadać z oprawy, a żyły w ciele rwać jak napięte postronki. Na rękach i odzieży ujrzała ślady krwi. Przez chwilę myślałę, że padnie zduszona kaszlem pod ławę. Wreszcie z ściśniętego mocno gardła krew buchnęła strumieniem. Wtedy zsunęła się na ziemię charcząc cicho jak konająca. Stary, który przed chwilą przebudził się i z niepokojem słuchał kaszlu córki, zerwał się, usłyszawszy odgłos padającego ciała i wybiegłszy raźno jak młody z chałupy, począł wołać o ratunek. Przybiegła jedna z pierwszych Stachowa matka. Położono Antkę na łóżku starego i przyprowadzono po dłuższym czasie do przytomności. Cała izba napełniła się kobietami. Ktoś szepnął coś w tłumie i wnet któryś z chłopców stojących w progu pobiegł w stronę kościółka, skąd słychać było właśnie głos dzwonka wzywającego na mszę ranną. Niebawem białowłosy pleban ukazał się w drzwiach izby. Wszyscy ustąpili z wyjątkiem starego, który zawoławszy o ratunek padł, jak martwy na ziemię. Zaprowadzono go na dawne posłanie Antki, gdzie leżał oddychając ciężko.

Antka usłyszawszy głos dzwonka, odzyskała całkiem przytomność. Wyspowiadawszy się zaś, zaczęła płakać jak dziecko Słodkie słowa pociechy duchowej uspokoiły ją jednak niebawem. Po odejściu plebana owładnęła nią silną gorączka, w której utraciła całkiem przytomność. Mówiła wtedy o Stachu i swych zamiarach służby w mieście. Matka Stacha doglądała ją teraz z troskliwością wielką. Może spodziewała się, że Stach wybierze sobie po śmierci Antki bogatszą dziewczynę za żonę. Stary, o którym na czas pewien zapomniano, zwlókł się z posłania dopiero nazajutrz rano. Przez cały ten czas nie przyjmował wcale pokarmu i leżał jak martwy. Dniało już na dworze i przez otwarte okno wpływał do izby powiew orzeźwiający, słodki. Chmury pierzchły gdzieś daleko i odsłonił się błękit czysty, modry. Pierwsze blaski słońca złotemi plamami upstrzyły łoże Antki. Stary obejrzawszy się po izbie, wlepił swe mętne źrenice w uśpioną córkę i wolnym krokiem postąpił ku jej łożu. Matka Stacha drzemała, siedząc na ławie.

Stary stanął nad łóżkiem i drżącą ręką dotknął ręki córki. Wtedy Antka otworzyła oczy, ale wnet je zamknęła, gdyż promienie wschodzącego słońca raziły jej oczy. Nagle spostrzegła ojca. Ciałem wstrząsnął jakiś dreszcz mocny, a potem łzy wielkie spłynęły z pod pół otwartych powiek. W twarzy ojca ujrzała boleść straszną, choć stary nie rzekł ani słowa. Niebawem uspokoiła się nieco i ręką, której żar ostygł już znacznie, wyszeptała tak głośno, że Stachowa matka obudziła się i powstawszy, zbliżyła się do jej łóżka. A Antka mówiła wolno i z ciężkością wielką:

-- Tatusiu, mój tatusiu serdecny.

I umilkła. A po chwili znów szeptała, ale ze łzą w głosie:

— Co wy tez pocniecie bezemnie na swiecie? Tatusiu, mój tatusiu serdecny.

W oczach jej stały łzy duże jak krople wody deszczowej, które w tej chwili lśniły na liściach drzew, mieniąc się w tęczowe kolory w złocistych promieniach słońca. Stary ryknął prawie jak zwierzę i zatoczywszy się, padł na ławę podtrzymany ręką Stachowej matki. A Antka mówiła boleśniej i bardziej jeszcze płaczliwie:

-- Tatusiu, tatusiu, co wy tez pocniecie bezemnie?

Stary trząsł się gwałtownie jak w wielkiej chorobie. Po chwili dopiero uspokoił się nieco i wpadł w jakąś drewnianą nieruchomość. Matka Stacha zbliżyła się do łoża Antki, która jakimś konwulsyjnym może ruchem chwyciła ją gwałtownie za rękę. W oczach starej kobiety zalśniły łzy duże jak groch. Wreszcie stłumionym od płaczy głosem wyszeptała:

— Wezmę tatusia do siebie. Nie dam mu zamrzeć z głodu.

Antkę dziwne jakieś przejęło drżenie. Ściskała lekko matkę Stacha za rękę, a potem wyszeptała głośno i wyraźnie:

— Stachu mój, Sta...

Twarz jej matowa skrzywiła się jak do płaczu i nie wymówiła ostatniej zgłoski. Po chwili spojrzała w okienko, przez które słońce rzucało snopy promieni. Niebawem chmurka przysłoniła słońce, ale z lica Antki nie zszedł już promyk uśmiechu, który osiadł na niem, kiedy ujrzała za okienkiem ten świat cudny i bardzo piękny, który rozpoczynał życie pełen siły i nadziei oblany jasnością, jakiej promyki barwiły też jej łóżko. I patrzała długo w tę mgłę świetlaną, w jakiej pływały sady i chaty pobliskie i na słońce płonące w całej świetności i majestacie. Potem obróciła się do ściany i pozostała nieruchome.

Za dni kilka zajęczał dzwonek na drewnianej dzwoniczce kościółka. Na dużym drabiniastym wozie wieziono białą, bukową trumnę ku cmentarzowi. Lazur nieba lśnił cały odjasności złotej, ciepły, łagodny wietrzyk muskał bujnem liściem okryte korony drzew sadów, a w powietrzu świergotały radośnie ptaszki. Rosa tęczowymi perły zwisała na trawach, a łąki okrywały się kwieciem rozlicznej barwy i woni. Małe srebrzyste obłoczki snuły się po morzu błękitów jak stado owiec na ziemskie pastwisku. Wiosna wstępowała na ziemię z całą potęgą dziecinnej świeżości i czarownego uroku. Niebawem też drzewa odziały się śniegiem kwiatowym i stały tak dziwnie piękne i urocze w swym powabie. A na łąkach i w lesie kwitły kwiaty o bardziej ognistych barwach i odurzającej woni.

Mogiła Antki odziewała się też w świeżą murawę.

L. T Grabowski.

Napoleon I — smakoszem.

Dotychczas przyzwyczailiśmy się uważać Napoleona za człowieka nieczułego na rozkosze podniebienia. Nowsze badania w tym gastronomicznym kierunku wskazują, iż wielki zwycięzca lubił dobrze jadać, a nawet sztuki kulinarnej używał nieraz dla popierania widoków politycznych, a zatem — oceniał jej znaczenie. Za jego panowania kuchnia francuska, dzięki samemu cesarzowi, wzniosła się do bardzo wysokiego poziomu. Słynny kucharz Careme powiadał: „Sztuka kulinarna jest wehikułem polityki francuskiej". Kucharzem Napoleona I-go był La Guipiére współzawodnik Boucher'a i Careme'a. Nie było nigdy godzin oznaczonych na posiłki: Napoleon jadał każdej chwili, gdy mu przychodził apetyt. Śniadanie zajmowało mu nie więcej, jak minut dziesięć, — obiad pół godziny najwyżej. Jadał nadzwyczaj szybko, co mu też na zdrowiu szkodziło. Najczęściej spożywał śniadanie w swoim gabinecie, na gerodyniku; jadał bardzo nieporządnie, posługując się palcami zamiast noża i widelca; nieraz nawet brał palcami z półmiska, maczał chleb w sosie, nawet na urzędowych obiadach; goście musieli sięgać do tego samego półmiska, a nikt nie poważył się okazać obrzydzenia. Zresztą Napoleon nie troszczył się o swoich współbiesiadników; podawano mu jedną potrawę po drugiej; zjadał je pospiesznie, a gdy ukończył, wstawał od stołu i przechodził do salonu. Józefina pozostawała zazwyczaj z gośćmi i jedzono dalej, lecz gdy czasami wychodziła za małżonkiem, wówczas wszyscy wstawali od stołu głodni. Pewnego dnia śniadanie trwało króciej jeszcze, niż zwykle. Książe Eugeniusz powstał zaraz po cesarzu. Ten to spostrzegł i zwracając się do niego, rzekł:

— Nie zdążyłeś jeszcze zjeść obiadu.

— Jadłem go już w domu — brzmiała odpowiedź, którą cesarz uznał za naturalną zupełnie.

Na cesarskim stole było zawsze w bród jedzenia; Napoleon nie lubił potraw wyszukanych. Ulubionemi jego daniami była pieczeń i kotlety baranie, sałata i soczewica. Jadał na talerzach srebrnych. W r. 1806 obstalował ich tysiąc od razu. Był jednak skąpym: często bardzo chodził na targi, aby sprawdzić ceny cukru, mięsa i innych produktów. Nie znosił wyzysku i grabieży służby. Pijał niewiele i tylko wino Chambertin — pół butelki na dzień. Szampan podnie

cał go zbytnio, to też rzadko bardzo go używał. W nocy, podczas swych zajęć, popijał kawę ze śmietanką, punch, czekoladę; rano, wstając z łóżka — kwiat pomarańczowy lub herbatę. Podczas kampanij nie tracił wcale apetytu; o każdej porze dnia jedzenie musiało być gotowe. Na wygnaniu zajmował się sztuką kulinarną daleko więcej, niż w Tuillerjach. Na wyspie Elbie jadał i pijał dużo; przez oszczędność, zamiast Chambertina, kazał sobie podawać wino miejscowe. Na wyspę św. Heleny Napoleon zabrał ze sobą kucharza (Lepage) i pasztetnika; dodano im następnie do pomocy czterech kuchcików chińskiego pochodzenia. Po dwóch latach miejsce Lepage'a zajął Chandelier, który też wprowadził wiele ulepszeń i kazał zbudować piec do ciasta.

— Jak to dobrze — zawołał, dowiedziawszy się o tem Napoleon — będziesz mi podawał paszteciki!

Produkty rodzime wyspy były bardzo nieliczne: mało jarzyn, żadnego drobiu, ani zwierzyny; na szczęście było mnóstwo nierogacizny rasy chińskiej, o bardzo delikatnem i tłustem mięsie; sporządzano z niej dla cesarza kotlety, kiełbasy, szynki, głowiznę. Rzadko bardzo pojawiały się na stole suche owoce chińskie i jabłka z Przylądku Dobrej Nadziei; świeżych owoców nie było wcale. Przyrządzano cesarzowi marynowane w rumie banany. Otoczenie Napoleona pijało Maderę, on zaś sam wino Bordeaux, likiery miejscowe i wodę ze źródła przy którem następnie złożono jego zwłoki. Śniadanie jego składało się z zupy szczawiowej lub rosołu, z pieczeni baraniej, pieczonego kurczęcia lub dwóch kotletów baranich i jarzyn — bardzo niesmacznych. Na obiad cesarz jadał zupę, dwa mięsa, jarzynę i ulubione paszteciki z konfiturami. Coraz częściej pijał wino szampańskie, płacąc po 24 fr. za butelkę. Pod koniec życia tracił apetyt i trudniej go było zadowolić; był wybrednym i kapryśnym.

A więc, jak widzimy, wielki bohater nie żywił wcale pogardy dla kulinarnych rozkoszy.

Z wycieczki do siedziby „duchów“

(Ciąg dalszy).

Uprzejmy gospodarz krok w krok chodził za nami, tłumaczył każdy obrazek, a po oględzinach stanowczo oświadczył, że dziś jeszcze wieczorem musi się odbyć seans. Zanim to jednak nastąpi, należy nam oddać wizyty medjom. Były niemi dwie panie. Pani Joanna Jur., osoba lat 28, wdowa po obywatelu ziemskim, wysoka zgrabna blondynka, wesołego usposobienia i i pani Eliza Jan, lat 20, żona oficera konsystującego tam pułku, średniego wzrostu, miłej powierzchowności i układu szatynka. Z chęcią oświadczyły gotowość uczestniczenia w wieczornym seansie, którego oczekiwaliśmy z gorąc zkową niecierpliwością.

Oczekiwana pora nadeszła wreszcie. Było dość późno, gdyśmy się z gromadzili w seansowym pokoju. Z uderzeniem wpół do dziesiątej zajęliśmy nasze miejsca amfiteatralnie, zwróceni do zapuszczonej na trzecią część pokoju kotary Stolika nie używa się tu wcale, a i rąk się też z sobą nie łączy. Każdy, jak i gdzie chce siedzi, niektórzy palą papierosy. Było nas osób 8. Ja z towarzyszami mymi, państwo Munsterowie medja i pan Jur.. mąż medjum. Opieczętowaliśmy naszą pieczęcią drzwi i okna, z których to co po za kotarą było zakratowane; gospodarz zaś, umieściwszy lampę we framudze drzw i okna, z których to co po za kotarą było zakratowane; gospodarz zaś, umieściwszy lampę we framudze drzwi wchodowych, co przyciemniło nieco pokój, poprosił panią Jur... medjum, by zechciała nam co zagrać i zaśpiewać. Uczyniła to zasiadłszy do pianina, zwrócona plecami do kotary, a bokiem do ściany.

Gra w ciszy głębokiej trwała dość długo, około pół godziny. Niekiedy muzykę urozmaicał śpiew. W krótce zauważyliśmy, iż palce zaczynają jakby odmawiać posłuszeństwa grającej, sztywnieją niby, mylą się, fałszują, utykają na klawiszach i wreszcie ręce usuwają się bezwładnie na kolana, gra ustaje. Pan Munster poleca żonie zająć miejsce pani Jur..., która w transie już podnosi się z krzesła i podąża ku przygotowanemu dla się fotelowi pod przeciwległą ścianą przy kotarze.

Pani Munster gra, przechodząc z jednej dumki ukraińskiej w drugą — pan M. zaleca nam jak największy spokój i zwrócenie uwagi w stronę medjum. Widzimy je wybornie. Głowę ma opartą o plecy fotelu, lewa ręka leży na kolanach, prawa się zwiesza z poręczy.

Po niejakiej chwili kawałek ściany po za plecami medjum zaczyna się rozjaśniać, jakby oblany światłem księżyca (okna szczelnie pozasłaniane) coraz mocniej i wreszcie wyłania się najwyraźniej postać świetlana z dobrze dającemi się wyróżniać ramionami i głową. Ktoś proponuje postaci, by zechciała bardziej się uplastycznić i wydostać się z poza medjum. Życzeniu powoli staje się zadość. Widmo uwidacznia się coraz więcej i, wysunąwszy się z za fotelu, staje u lewego boku medjum przy kotarze; namawiamy, by się jeszcze trochę naprzód wysunęło i tym sposobem oddzieliło od medjum. Proponujemy, aby usiadła na fotelu. Czyni tak i widzimy ją doskonale w tej pozie, co panią Jur... przed chwilą. Ta zaś przechadza się pomiędzy nami, coś sobie wciąż przy tem poprawiając u włosów. Postać podniosła się z fotelu i stanęła obok; wtedy medjum zajęło znów swe miejsce.

(Ciąg dalszy nastąpi).